Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 42. Poznań, dnia 19. Października. **1840.**

Literatura zagraniczna.

Poezya.

Szeik na Synai w jesieni 1830.
(z Freiligratha.)

»Wynieście mię przed namiot z moją ottomaną,
Ja sam chcę go oglądać — dzisiaj z karawaną
Z Afryki jak mówicie przybyły te wieści?
Wynieście mię przed namiot! jak wodą zdrojową
Gazella się raduje, tak i jego mową
Niech ucho moje się pieści.«

Siadł Szeik przed namiotem, a murzyn zaczyna:
»»Z wież Algieru wiatr sztandar trójbarwny rozpina,
Na murach jego jedwab szeleści Lyonu,
Po ulicach pobudka rano się rozlega,
I koń na nutę pieśni Marsylczyków biega:
Frankowie przyszli z Tulonu.

Ciągną ku południowi we świetnéj kolumnie,
Barbarów słońce bronie oświeca im dumnie,
Po grzywach się tunczkich piasków wiją fale;
Pierzcha Kabyl ze żoną i zębami zgrzyta,
Atlas zbiegłych przyjmuje — a twarde kopyta
Wielbłąda pną się po skale.

Maurowie się szykują — wre jak u ogniska
Śród walki defilada — dym się w szlaki ciska.
Lew niepożartych sarny odbiega kawałków,
On inny łup ułowi pośród nocy zmierzchu.
Allah! — Feu en avant! — aż do góry wierzchu
Przerznęli się przez tych śmiałków.

Góra dźwiga ze lśniących bagnetów koronę,
U stóp ich wszystkie miasta leżą rościelone
Od Fezu aż do Tunis, od mórz do Atlasu.
Zsiedli jeźdźcy, na siodle spoczywa ich ramię,
Ich oko błądzi w okrąg — minaretów znamię
Wyjrzało z śród myrtów lasu.

Kwitnie migdał w dolinie, a na gołéj skale
Liść aloesu burzom urąga zuchwale:
Błogosław krajom Beja Tyterskiego Panie!
Tam morze lśni, tam Franków chorągwie wiatr pieści,
Tam tlący lunt czekając u działa szeleści:
Grom wypadł — to ich witanie!««

»To oni! — woła Szeik — jam był z ich wyprawy
O bitwo u piramid! o dniu łupów, sławy!
Czerwona jak twój turban była Nilu wstęga.
A Sułtan ich? — i chwyta murzyna prawicę —
»Widziałżeś go we walce? jego wzrost, chód, lice?
A strój?« — murzyn za pas sięga.

»»Ich Sułtan został w domu, wysłał tylko Agę,
Co na pociski czoło stawić ma odwagę;
On to strzaskał żelazne Atlasu zań wrota.
Na tym pieniądzu ujrzysz głowę ich Sułtana:
To dwudziestofrankowa od nich otrzymana
W kupnie koni sztuka złota.««

Emir wziął w rękę złoto, czy to Sułtan będzie,
Którego on po pustych drogach wodził wszędzie
Przed laty — przecięż westchnął gdy odcisk oglądał:
»To nie jest jego oko, ni czoło — twarz nowa
Dla mnie tego człowieka — to jak gruszka głowa!
To nie ten, któregom żądał.«

Al. Szukiewicz.

Literatura krajowa.

Przygoda podróżnika.

. . . Wszedł jakiś podróżny,
Kij miał w ręku, twarz młodą, widać życiu dłużny;
A tłumoczek na plecach, opylony piaskiem
Ziemi rodzinnéj, jasnym oznaczał go blaskiem.

Magnuszewski.

»Fazan do nogi! do nogi nieposłuszna bestyo!« krzyczał młody myśliwy stojący do kolan w błocie, na zmordowanego i krnąbrnego wyżła, co rozciągnąwszy się jak długi na trawie, i wywaliwszy język, mimo uszu puszczał te groźby. Widać, że myśliwemu i cierpliwość się przebrała i ochrzypł od krzyku, bo w zapale już mierzył dubeltówką w sam łeb przyjacielowi — słudze.... Szczęściem dla obudwóch, z pod kretowiny zerwał się ptak, furknął w powietrze, i lufka skierowała się za nim tak trafnie, że z dymem prawie upadł na rzekę, co tuż płynęła między sitowiem a łozami.

Panicz z radości o dwa łokcie poskoczył; — pierwsza to jego zdobycz, którą dostał, napudłowawszy od samego południa. — »Fazaniu! daléj Fazaniu! teraz pokaż, co umiesz!« ale czuła przemowa, i klepanie ręką po bokach, i kawałek białego chleba z torby, na który Fazan nosem pokręcił, nie mogły go zniewolić do puszczenia się na wodę.

»Ta bestya i chlebem gardzi!?... Czekaj, zobaczym, kto pan, kto sługa!...« I nuż okładać mu grzbiet lasztokiem; a kiedy i lasztok się skruszył i kolba nic nie pomogła, tak dziarsko kopnął go nogą, że psisko o kilkanaście kroków odleciało.

»Co tu począć? jak dostać bekasa? — Mamże wrócić z gołémi rękoma i wystawić się na pośmiewisko starego Jakuba i Anielki, co mi zawsze przycina, że doskonale strzelam zwierzynę na półmisku? Trzeba po rozum do głowy!...« — Panicz rozpatrywał się zrazu po polu, ale nie było żywéj duszy; pastuszki z wczesnym mrokiem jesiennym pognali bydło; musiał więc radzić sam sobie. Przyszło mu na myśl wyłamywać wierzbowe pręty i sięgać po zwierzynę, lecz daremnie! ptak uczepiony skrzydłem o wodną pokrzywkę, mimo prądu zostawał na miejscu. Najlepszy był sposób, zdjąć buty i pychę z serca, a samemu hul na bystry Dunaj; — cóż, kiedy pieszczoszkowi woda zdała się za zimną, katar, a może febra nieuchronném następstwem; daleko dowcipniejszy zdał mu się pomysł: wyleść na spróchniały pniak wierzbowy, wychylony ku rzece wiotkiémi gałęźmi, i z przybliżonego stanowiska sięgać końcem swéj strzelby. Z początku, gdy stanął, gdy zmierzył okiem odległość, nadzwyczaj uradował się planem, i był już pewnym wygranéj; gdy oto, jedną ręką trzymając się gałązki, drugą usiłując odplątać bekasa, a wagą ciała zwieszając się coraz bardziéj, — gałązka się urywa, pniak zgniły pod nogami kruszy, i on jak kłoda wpada do głębi.

„Gwałtu! ratunku! tonę!“ wołał rozbijając fale i usiłując utrzymać głowę na powierzchni, co mu tém trudniéj przychodziło, gdy jedną nogą uwięznął w rososze wierzby, która ją jak kleszczami ścisnęła, a całym prawie tułowem pionowo zatapiał się w wodzie. Położenie to, a raczéj powieszenie się było bardzo krytyczne: krew spływała mu do głowy, woda cisnęła się w uszy, nos i usta. Apopleksya i asfiksya — naraz dwa rodzaje śmierci! Opatrzność jednakże nie chciała tak marnego końca naznaczyć naszemu myśliwemu; zwłaszcza, że bez niego niepodobna byłoby prowadzić daléj powieści; — jakoż z dwóch stron naraz przybywała pomoc. Naprzód Fazan, czy to pokuszony przykładem pana, co tak bohatersko bobrował, czy też tknięty instynktem zwierzęcéj wspaniałomyślności na widok niebezpieczeństwa, poszedł na wodę i zaczął doń podpływać, i niby się łasić, tak, że tonący uchwyciwszy się go ramionami, jeśli nie całkiém mógł się uwolnić, to przynajmniéj swobodniéj oddychał, i czekał zbawienia, powtarzając: „Kto się w opiekę.“ Powtóre, od pagórka, a raczéj długiego wału, co się błotami opodal ciągnął, pędził, co mógł wyskoczyć, jakiś człowiek, wołając: »Trzymaj się! trzymaj! uszy do góry!« — i w biegu ściągał z siebie kusy kożuszek, i odrzucał torbę przewieszoną przez plecy. — »Dziękuj Bogu, mój panie łowczy!« zawołał, przybiegłszy na brzeg — »że mię tu zesłał« — i rzucił się wpław, a silną ręką odgiąwszy gałąź, uwolnił uwięzioną nogę, a następnie i topielca wraz z Fazanem, który przywalony ciężarem swego pana, ledwo że jeszcze łapami robił, wyniósł na suche. — »Dziękuj Bogu, powiadam ci raz jeszcze, bo nawet przysłowie: „co ma wisieć, nie utonie“ nie mogłoby się do ciebie stósować, coś razem wisiał i tonął.« — »Ach! czy ja żyję, czy nie? ach! co to się stało ze mną? och! och!« stękał nasz młodzik, przewracając oczyma i leżąc nawznak niby bez duszy. — »Nie pieść się! nie pieść! — trochę się napiłeś wody i chciałbyś umierać — wstyd! taki młody — ot zerwij się, strzepnij, podskocz i łyknij dobry łyk gorzałki; patrzaj, za moim przykładem.« — Nieznajomy pociągnąwszy sporo z swéj oplecionéj flaszeczki, podał ją do ust paniczowi, którego już był wziął za kołnierz i równémi nogami na ziemię postawił. — »Trzymaj się, a ostro!« — mówił pojąc go gorzałką — »pijże! taki to z ciebie żołnierz?« — »Ja nie żołnierz« odrzekł płaczliwie. — »A cóż ty jesteś? panna? baba? kapucyn?« — „O, bardzo proszę!“ — rzecze panicz niby obrażon — »jestem syn obywatelski, matka moja pani marszałkowa, jest téj oto wsi dziedziczką....« — »Rozumiem, to znaczy, że masz przywiléj na niedołęztwo — widzisz, żebyś był żołnierzem, byłbyś prosto szedł w wodę, a nie łazil po spróchniałym pniaku.« — »Kto się spodziewał! kto się spodziewał! — ale« — tu się obzierał niespokojnie — »gdzie moja strzelba? gdzie bekas?... pewnie wszystko potonęło!!« — „Zapewne! strzelbę w przestrachu upuściłeś na dno — bekas twój jeszcze tam pływa. — No, no, nie frasuj się pieszczoszku, wszystko ja ci wyniosę“ — i nie czekając na prośbę lub podziękowanie, poszedł znowu na wodę; dał nurka i dostał fuzyą, bekasa za skrzydło ułowił — i wyrzucając mu na brzeg oboje, nażartował się, że dla biednego filclauzika, co i na ząb go nie ma, mało życia nie stracił; — »tak to wy zawsze — dodał — chytro, mudro, newełykim kosztem wszystko robicie.«

Po téj usłudze, nieznajomy, stanąwszy na drugiéj stronie strumienia, zbierał swoje porozrzucane manatki, strzepywał się i ubierał; — a panicz dygocąc i dzwoniąc zębami stał i patrzał na niego; nakoniec, gdy podróżny wziął swój kij sękaty do ręki i zabierał się do drogi, mówiąc: »Bywaj mi zdrów panie łowczy i trzymaj się ciepło!« — młodzieniec jakby ockniony, poskoczył kilka kroków i zawołał wyciągając ręce: »Jako! pan chcesz odchodzić? Jako! wybawca mój nie raczy nawet przyjąć wyrazów wdzięczności? Matka moja nigdyby mi nie darowała.« — »Taka bagatela niewarta jak prostego: Bóg zapłać!« — »Och! mości dobrodzieju!« wołał składając ręce — »nie czyń krzywdy mojemu urodzeniu, mojemu wychowaniu — pozwól, a cały dom nasz będzie na twoje usługi — wreszcie, gdzie myślisz znaleźć nocleg? wieś niedaleko wprawdzie, ale karczma, to szatro cygańskie, niesposób nocować — do miasteczka kawał, a tu wiatr taki chłodny, a tu noc...« — »Widzisz, moje dziecko — nabawisz się jeszcze choroby, drzysz cały, kulisz, wracaj do ciepłego pokoju, jesteś z delikatnéj mąki — bo ja, to rzecz inna, jako wierzba moknę i schnę na dworze, nie znam katarów ani reumatyzmów, a jeśli u chłopa się wyparzę i zbucham misę lemiszki ze szwedami, a na dobranoc dumkę usłyszę, to zdrów zasypiam marząc o niebieskich migdałach. Bywajcie mi zdrowi i ostrożniejsi;« i dawał ręką znak pożegnania. — »Na to nigdy nie pozwolę!« krzyczał panicz — »choćbyś miał jeszcze raz skoczyć do rzeki — nie pozwolę! Panie! panie! nie zostawiaj mię w długu wdzięczności; powiedz, w czém ci mogę stać się użytecznym, rozkazuj, tylko nie omijaj naszego domu!«

Podróżny zdał się zmiękczonym tą jego prośbą, bo obadwa szli brzegiem strumienia ku niezbyt odległemu mostkowi, gdzie mogli się złączyć, jednakże jakby walcząc z odrazą, pochwycił nić rozmowy i zagabał: »Wasz dom, to musi być pałac, nieprawdaż?« — »Najładniejszy w okolicy.« — »Posadzki woskowane, meble z mahoni, kryształy, a lokaje w galonach?« — »Mogę panu zaręczyć, że wszystko w najlepszym guście — właśnie lada dzień spodziewamy się Gubernatora z Żytomierza.« — »A rozmowa toczy się po francuzku o strojach i balach i etykiecie?« — »Pan Labe, stary mój guwerner, nie pozwala nikomu ust otworzyć po polsku. Ależ do czego to zmierza?« — »Oto do tego, mój przyjacielu, że co z psa w kościele, kiedy pacierza nie gada? Co ze mnie w pałacu, kiedy mię wasz świat nudzi, kiedy mi stokroć przyjemniéj słuchać co baba prawi pod kądzielą, co dziad o starych czasach, a dzieweczki na wieczornicy o Hryciu i Morozeńku.« — »Dziwny gust pański! — ale przyznam się, że to kompania nie dla pana, jego wychowanie pokazuje...« — »No? czy dostrzegłeś we mnie jakiéj maniery? czy nie wyglądam na czystego chłopa? na chama?« — »Z powierzchowności, zapewne, możnaby się omylić, mianowicie z ubioru — ale są pewne znamiona, n. p. ręce — Mama mi zawsze mówi, że po małéj ręce dobra poznaje się rasa, a pan masz wcale małą....« — »Proszę! — rzecze podróżny z wyrazem komicznego podziwu — nie wiedziałem, że naukę fizyologii herbownéj w tak wysokim posiadasz stopniu!« — Tu właśnie zeszli się byli u mostku, po wahaniu się z jednéj, po usilném naleganiu z drugiéj strony, podróżny dał się uwieść może ciekawością poznania domu marszałkowéj i szedł ku pałacowi, jednakże nie przestawał rzucać uwag stósownych do swego położenia: »Pocieszniéż bo się wydam na waszych salonach! ja, szperacz w kościach i gruzach, nawykły do szorstkiego języka i twarzy gminu, co się lubię rozeprzeć na ławie, co zapomniałem kłaniać się nawet! — Sam będę zrywał boki ze siebie, jak z owéj garderóbki lady Hamilton, co z parasolikiem i w atłasowych trzewiczkach i z modnym splinem spacerowała po ruinach Troi — ten sam przypadek, tylko w stósunku odwrotnym.« — »Więc pan jesteś antykwaryusz? — zapytał panicz z wielkim podziwem i przymileniem — pan literat! autor, może wierszopis? ach! toż się mama ucieszy, toż pan Labe, który jest bardzo uczony!« — »Piękne mi obiecuje roskosze — mruknął podróżny — Marszałkowa literatka, Labuś uczony!« — »Zobaczysz pan — mówił daléj marszałkowicz zacierając ręce — że nie pożałujesz swojéj fatygi: pokażę ci moje psy i konie; Anielka kuzynka moja zaśpiewa ci najmodniejszy romans, wszak lubisz muzykę? Labe będzie ci opowiadał stare dzieje o dworze francuzkim, o pani Lamballe i o parku jelenim, wszak lubisz powieści starców? a moja matka o tém, jak grzeczny Cesarz po dwakroć całował ją w rękę.« — »Prześlicznie! — mruczał znowu podróżny — jednakże wolałbym znaleźć cały garnek z popiołem, lub dobrą piosnkę o Did-Ładzie, zwłaszcza że lud zda się bogaty w pieśni, a okolica w pamiątki.... głupstwo robię, szkoda czasu i atłasu.« — »Pan zdajesz się być nieukontentowany?« pytał panicz zaglądając mu w oczy. — »Tak, cokolwiek... odstąpiłem od mego zwyczaju, ale już padło...«

I w milczeniu wchodzili przez ogród do jednego skrzydła pałacu, gdzie była rezydencya marszałkowicza. Podróżny dobył ze swojéj torby wszystko, co potrzebował do przebrania się, a panicz z filclauzem w ręku, poleciał pochwalić się przed Anielką i Jakubem, i cały swój wypadek rozpowiedzieć matce i La-

bemu. Okropna wieść zaraz gruchnęła po dworze: panicz się topił! panicz się topił! — Marszałkowa załamywała ręce i wąchała flakonik, Labe zażywał tabakę i chodził po pokoju, a Anielka płakała, że Emilek (tak się nazywał nasz myśliwy) cały mokrzuteńki. — »Przebierz się, przebierz! — dziecko moje« — wołała marszałkowa — »przebierz się, bo katar lub gorączka! Och, ja nieszczęśliwa! Doktora! doktora!« — »Nic mi nie będzie!« odrzekł zuchowato panicz — »ten pan, co mię wyciągnął, mówił, że żołnierzowi nic nie szkodzi, choć się skąpie czasami...« — »Żołnierzowi!? cóżto, czy wziął cię za jakiego rekruta? byłoż mu powiedzieć, kto jesteś — któż on taki ten pan, proś go, proś Emilu, wdzięczność moja bez granic...« — »Kto on, nie wiem — ale mi się zdaje, że jakiś człowiek bardzo uczony, choć niepozorny, podróżuje, czegoś szuka...« — »Jakże się zowie?« — »Nie pytałem.« — »Trzebaż było zapytać, moje dziecię — teraz nie wiem, w jaki sposób go przyjąć?« — »Przyjąć, jak mego wybawcę!« — odrzekł Emil, instynktowie uczuwszy całą niedorzeczność zapytania swéj matki; bo wychowanie jego, skierowane do rzeczy czczych i powierzchownych, zobojętniło w nim charakter męzki i zrobiło zeń miękką glinę, z któréj matka i Labé najpotworniejszego lepili szlachcica. —

W małe półgodziny Emil z nieznajomym wchodzili do jadalnego salonu, przebrani i oczyszczeni, lubo ostatni niewiele elegancyi zachował w swoim stroju, który składał się z letniéj przeszarzanéj i wypłowiałéj kapotki, z chustki pstrokatéj na szyi, i z ogromnych butów, podkutych ćwiekami. Emil, którego serce napełniało się jeszcze wdzięcznością, nie dawał baczenia na tę ubogą powierzchowność, słowem widział człowieka, nie suknią. Podróżny zaś zachowywał poważną prostotę; każdy jednak pilniejszy fizyonomii badacz dostrzegłby w przeciągnieniu ust jego i w przymrużaniu oczu wyraz jakiéjś ironii, zdający się mówić: „co mi szkodzi zagrać z wami komedyą?“ — Przy wnijściu do bawialnego salonu, gdzie marszałkowa czekała z herbatą, Emil schwycił za rękę podróżnego, i zapytał nieśmiało: »Jakżeż mam pana prezentować?« — »Mnie prezentować?« i wpatrzył się weń z ironią; a po małym przestanku: — »nazywam się Dołęga.« — »Czy podobna! Dołęga!? pan może żartuje!« — »Chroń mię Boże! — wreszcie czy nielepiéj zwać się Dołęga, niż Niedołęga?“ — »Zapewne« — odrzekł zmięszany Emil — i pomyślił: „czy do mnie przycinek?“

Nareszcie po téj krótkiéj ceregieli, drzwi się otwarły, i zajaśniał przed nimi stolik z świecącym i dymiącym samowarem, i marszałkowa na kanapie z swoją przyboczną gwardyą płci żeńskiéj, któréj komendantem był Labe.

»Prezentuję mamie« — mówił bełkocąc Emil do marszałkowéj, co kilkoma już dygami zbliżała się ku nieznajomemu — »prezentuję....« i poglądał na towarzysza, wahając się, czy ma wymówić lub nie jego nazwisko... — »Dołęgę!...« szeptnął podróżny półgłosem. — »Prezentuję mamie pana Dołęgę.«

Marszałkowa, która już od stóp do głów zmierzyła postać nowo przybyłego, usłyszawszy ten wyraz — skręciła nosem, cofnęła się parę kroków, połknęła pół kopy nagotowanych grzeczności i jąkając się.... — »Nieskończenie jestem obowiązaną — pan — asan wyratowałeś mego syna... w czémże mogę mu stać się użyteczną?...« — »W niczém, mościa dobrodziéjko« — odrzekł nieznajomy, trzymając ciągle ręce w kieszeniach swojéj kapoty — »jestem bowiem z tych ludzi, co sobie sami są pomocą, a jeżeli komu zdarzy się usłużyć, jak to właśnie był teraz przypadek, tedy czynię to bez najmniejszéj pretensyi.«

Śmiały ten ton zmięszał marszałkową i zaczęła uniżeniéj.... — »Jednakże nie wzgardzi przynajmniéj domem naszym i zechce jaki czas... nawet tyle, ile mu się podoba, przepędzić z nami...« — »I tego przyjąć nie mogę, kto ma podróż i cel podróży przed sobą, temu trudno zagrzać na miejscu.“ — „Niechże siada — niechże, bardzo proszę — krzesła!... Więc podróżuje? może wraca z zagranicy — z Włoch? Szwajcaryi?« — »I to nie; ograniczam się na naszym kraju — w którym tyle jest do widzenia.“ — »Doprawdy? to w naszym kraju jest co do widzenia?“ — „Jak dla kogo.“

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Obraz historyczno-charakterystyczny Polaków XVI. wieku.

(Dokończenie.)

Miło było widzieć przyjemnego starca, jakim był Jan hrabia z Tarnowa, którego sędziwość ze stateczną trefnością podziwiał każdy. Miło było słuchać słodkiéj jego powieści [1]). Obok niego dziwnie odbijał pospolity starzec, sknera i kutwa, z okularami na nosie, macający się zawsze po kieszeni, ażali mu nie uciekły pieniądze z wacka [2]). Miernie i trzeźwo pędząc życie, dochodzili u nas ludzie bardzo późnéj starości. Sto czterdzieści lat wieku liczył sobie Sroński, wojewoda mazowiecki, zmarły roku 1436, jak to poświadczał wystawiony mu nagrobek w Srońsku w Mazowszu [3]).

[1]) Gorn. Dworz. str. 100.
[2]) Wyprawa plebańska.
[3]) Bielski kron. str. 354.

Niebrakło u nas na leciwych (latami obarczonych) ludziach, którym chociaż sędziwy włos, drzące ręce, i zmarszczki na twarzy, siedzieć spokojnie a paciórki piać (śpiewać nabożne pieśni) nakazywały, woleli grać na lutni, albo śpiewać światowe piosenki. Gdy Kupidyn, to bezecne dziecię, na złość ich latom, kusiło się o ich starość, a ciało ich oziębłe i ledwie nie skrzepłe zagrzewało i ożywiało, przeto leciwi ci młokosi nadskakując kobietom, ażeby pokazać, że nie są starzy, farbowali sobie brodę, a chcąc siwiznę głowy ukryć, w czapeczce zawsze chodzili [4]). Nie mogąc w stan małżeński zwabić młodéj bogactwy i rodem wyrównywającéj sobie dziewicy, ubiegali się o łaskę bogatych wdów, udając pobożność, jeżeli zmiarkowali, że niewiasta jest bogobojną. Codzień prowadzili je do kościoła, i klęcząc modlili się spólnie. Wszakże w gorący wpadłszy affekt, nieraz roskosznik stary rozpoczynał z towarzyszką swoją nieprzystojne rozmowy, a za to albo dostawał odprawę, albo karcony bywał od pilnego sługi, któremu, miarkując zamiary gacha, towarzyszyć sobie do kościoła rozkazywała bogobojna wdowa [5]). Kiedy tak roskosznika zawiodła nadzieja, zdejmował z siebie maskę, i wyjawiał się z tém, czém był istotnie. Przyjmował sobie miłośnice [6]), albo do niecnych [7]) uczęszczał domów. Same dwójznaczne, do rospusty stósowne, wymykały się z ust jego słowa: mawiał, że żona ma być układna, a mąż przykładny; że jak żona ma podlegać, tak mąż nalegać [8]).

Modnisie przesadzali się w kusych sukniach lub długich żupanach, które się za nimi włóczyły by flory. Gdzie się jeno fircyk wyruszył z domu, musiał za nim iść chłopiec służący z gąbką i szczotką w kieszeni, ażeby co dziesięć kroków czyścił strój pański [9]). Odznaczali się modnisie poruszeniami ciała i ubiorem głowy. Fircyk co chwila podmuskiwał czupryny i ostrzył wąsik, albo przekrzywiał na głowie czapkę, co animusz jego oznaczało, albo mrugał na kobietki muskane, barwione i kamforowane, malowane i podolejowane; albo piętą depcąc, wargę sobie kąsając, i strzygąc oczyma spoglądał na ładne swoje obuwie, albo poprawiał kołnierzyka (bryze), albo magierką powtarzał co słowo ukłony, mając ciągle na języku »mościwy panie«, albo zaczesawszy w tył czuprynę, a z przodu ją ogoliwszy, podobnie jak grzywa u kobyły, spoglądał po bokach [10]).

4) Gorn. Dworz. str. 98. 99.
5) Kazanie na pogrzebie Doroty z Oyrzanowa.
6) nałożnice, u Bielsk. kron. str. 508.
7) nierządnych, u Trztyprztyck.
8) Trztyprztycki.
9) Gorn. Dworz. str. 42.
10) Rey wiz. 4. Klonowicza Wor. jud. II. Paprocki proba cnót. Zbylit. schadzka. Jezowski w ustęp. zima. Guczy Grobijanin rozdz. II.

W. A. Maciejowski.

O astronomii w Polsce.

(Ciąg dalszy.)

Krótko przed śmiercią Brudzewskiego, za rektoryi Jana z Oświęcimia 1494. r., odebrała akademia krakowska w darze od króla węgierskiego Macieja Huniada, nauk i uczonych Polaków przyjaciela, różne instrumenta matematyczne, z których niektóre w bibliotece publicznéj akademickiéj za czasów Sołtykowicza jeszcze przechowywały się.

Wszystkie te atoli narzędzia do dokładnych i ścisłych obserwacyi mało były przydatne. Dopiero Tycho-Brahe wydoskonalił narzędzia, odkrył i ocenił skutki łamiącego się światła. Galileusz wynalazł i złożył teleskopy, pierwszy pokazał użycie wahających się zegarów, które ulepszone przez Hughensa, zrobiły czas prawie dotykalnym.

Kopernik jeszcze tych pomocy nie miał, ani ich nie znał. Narzędzia, jakich do obserwacyi używał, i które sam opisuje (de Revol. lib. II. 14., IV. 15.), są te same, jakich nam opisanie zostawił Ptolemeusz, z tą jeszcze różnicą, że zapewne były gorsze od alexandryjskich. On sam rozumiał, że niedokładność może do 10′ dochodzić. Jakoż istotnie w oznaczeniu geograficzném Frauenburga przez Kopernika, po zmierzeniu późniéj szerokości tego miejsca sextansem Tychona, pokazała się tylko różnica 3′ 15″. Dla braku zegarów chybiał atoli znacznie w oznaczeniu odległości innych miejsc, przywodząc je do południka krakowskiego. I tak w oznaczeniu odległości Alexandryi od Krakowa — według obrachunku Śniadeckiego — chybił w łuku 5° 45″, w czasie 20′ 3″. Podanie niesie, że Kopernik sam ręką swoją narzędzia, których potrzebował, wyrabiał. Chlubił się Tycho, że posiadał parallaticum, ręką jego z drzewa wyrobiony.

W XVII. wieku powstało w Gdańsku pierwsze obserwatoryum w Polsce, opatrzone dokładniejszémi narzędziami. Urządził je sobie Heweliusz (1641.), posiadający i sam wielki z browaru majątek, i zapomagany szczodrobliwością Ludwika XIV. i Jana Sobieskiego. Ale w r. 1679. zgorzało to wszystko. W swojéj organografii *(mach. Coeli pars 1.)* opisuje 12 główniejszych narzędzi astronomicznych, które posiadał, między témi był sextans miedziany, mający 6 stóp w promieniu, którym ogromną ilość odległości powymierzał. Flamsteed uważa *(proleg. p. 100.)*, że najwięcéj na 15″ w dokładności chybiał.

Ciągła walka akademii krakowskiéj z Jezuitami w końcu 16go, a początku 17go wieku, była najwięcéj na przeszkodzie dzielnemu rozwijaniu się nauk, i stąd zapewne ta niedbałość zaopatrzenia katedry astronomii

w pomoce po innych krajach istniejące. Akademie jezuickie w Wilnie, Poznaniu i we Lwowie, to zamykane, to otwierane, nie potrafiły się wznieść do tego znaczenia, jak w Marsylii, Avenionie i Neapolu, gdzie Jezuici swoje obserwatorya, wyborne narzędzia i dzielnych astronomów mieli.

W Wilnie zastał Poczobut lunetę południkową, machinę parallaktyczną i zegar Ellikota, jak Śniadecki powiada, sprzęt dosyć ubogi i do tego rodzaju prac niedostateczny. Za naleganiem Poczobuta sprowadzono przecież sextans Kaniveta o 6ciu stopach promienia, aby przynajmniéj długość i szerokość geograficzną Wilna oznaczyć. Dopiero, kiedy Puzynina, kasztelanowa mścisławska, jak się na wstępie namieniło, znaczne na ten cel summy przekazała, udał się Poczobut sam do Holandyi i Anglii, i tam najlepsze dla swego obserwatoryum zamówił narzędzia, u sławnych podówczas w téj sztuce: Ramsdena, Dollonda, Grahama. Wszystkie te narzędzia nadeszły 1770. r. do Wilna, ale że obserwatoryum dla nich przerabiać trzeba było, dopiero r. 1773. można było stałe przedsięwziąć obserwacye. — W dwa lata późniéj komisya edukacyjna przeznaczyła nadto 2000 dukatów na narzędzia. Wysłany po nie do Londynu Jędrzéj Strzecki, oprócz innych drobniejszych, ugodził u Ramsdena, wielki 8 stóp angielsk. promienia mający murowy kwadrans, południkową lunetę na 6 stóp długą o troistém szkle objektowém z 4ma calami otworu, nakoniec teleskop od 6 stóp. — Tym sposobem, zdaniem Śniadeckiego, uważalnia wileńska nieoledwie tak dobrze była opatrzona, jak oxfordzka. Poczobut w liście do Śniadeckiego z dn. 25. Marca 1788. r. wylicza z wyraźném swojém zadowoleniem celniejsze narzędzia astronomiczne obserwatoryum wileńskiego. Przytaczając kwadrans muralny dodaje: że sami angielscy astronomowie, którzy do examinowania tego instrumentu byli proszeni, pp. Aubert i Maskelyne, zdawali mu się zazdrościć téj doskonałości i precyzyi, którą ma w dywizyach; że prócz doskonałości i zręczności artysty, upatrywali w niéj szczęśliwy przypadek.

Także po szkołach jezuickich pozakładane były uważalnie dla użytku młodzieży, lubo stałych obserwacyj w nich nie robiono, ani dla braku dokładnych narzędzi robić nie można było. Komisya edukacyjna zakupiła z gabinetu ks. Rogalińskiego w Poznaniu znakomitsze instrumenta astronomiczne i matematyczne, i wysłała po nie Śniadeckiego 1783. r. Znajdowały się między niémi zegar astronomiczny le Paula i kwadrans Caniveta o 3 stopach promienia, bez szkieł i mikrometru. »Dowiedziawszy się, mówi Śniadecki, że ten gabinet po skasowaniu Jezuitów, był wywożony z Poznania do wsi, o trzy mile od Poznania leżącéj, pojechałem tam, i w śmieciach śpichlerza znalazłem szkło okowe z mikrometrem.«

Obserwatoryum krakowskie stanęło dopiero staraniem Śniadeckiego, i w lepsze zostało opatrzone narzędzia. Zbierał je skąd mógł; z królewskiego obserwatoryum w Warszawie wyprosił dla Krakowa od króla Stanisława Augusta, wszystkie dublety, i zda się, że co było lepszego, wybrał, między innémi kosztowną lunetę. Roku 1785. nadeszły do Krakowa zakupione za granicą instrumenta. Sławny astronom Messier w liście do Śniadeckiego z tegó powodu tak pisze: »Ucieszony byłem, dowiadując się z listu pana o założeniu tego obserwatoryum, które musi się przyłożyć do dobra i postępu wiadomości astronomicznych, a razem przynieść wiele zaszczytu Polsce i panu. Szczególne narzędzia, które już wpan posiadasz, i które są po większéj części dobre, złączone z témi co odbierzesz, utworzy jedno z lepszych obserwatoryów w Europie« i t. d. We dwa lata potém stanęło nowe obserwatoryum na Wesołéj w Krakowie, w którém Śniadecki czynił obserwacye przez lat dziewięć aż do r. 1802.

Obserwatoryum warszawskie, które się podniosło za Stanisława Augusta, i staraniem komisyi edukacyjnéj, nie miało ani tak dokładnych narzędzi, co Wilno i Kraków, ani posiadało tak celujących astronomów.

Za granicą wzięła szybki polot astronomia przez ustanowienie uczonych towarzystw, gdzie połączonémi wszystkich nauk siłami, wzmagała się każda pojedyńcza.

Najgłówniejsze i najważniejsze odkrycia w astronomii powstały w łonie akademii nauk w Paryżu, założonéj 1666. przez Ludwika XIV., i w towarzystwie królewskiém londyńskiém, które się zawiązało kilku latami wcześniéj. Tych dzielnych pomocy nie miała astronomia polska. Zawiązane z początkiem naszego stulecia Towarzystwo Przyjaciół nauk w Warszawie, w czasach dla nauk nienajpomyślniejszych, bo w czasach wojen i częstych zmian politycznych, powstało za późno, i trwało zbyt krótko. *) A coby się było

---

*) Nie od rzeczy może będzie przytoczyć i przypomnieć reskrypt królewski, potwierdzający Towarzystwo przyjaciół nauk, które położywszy sobie za cel prac swoich, utrzymanie narodowego języka w swojéj czystości, zachowanie i rozszerzenie nauk, zyskało od Najjaśniejszego Pana reskrypt najprzychylniejszy, w następującéj osnowie:

»Król Jmci Pruski bardzo mile przyjął dyssertacye i mowy, które Towarzystwo Przyjaciół nauk w Warszawie złożyło mu przez swego Prezesa Albertrandego, Biskupa Zenopolitańskiego, pod datą 25. przeszłego miesiąca. Daje więc poznać wspomnionemu Towarzystwu swoje zupełne potwierdzenie, a będąc przeświadczoay, iż nie ustanie w chęci zasługiwania się na jego protekcyą,

mogło poprzednio dobrego dla nauk zrobić, to zwichnęła czy niechęć, czy źle zrozumiany interes. Akademia nauk w Paryżu, odbierając częste i interesowne z Krakowa doniesienia naukowe, przyjęła projekt podany przez p. Cousin 1785. r. utworzenia trwałéj korespondencyi między akademią krakowską, a kollegium królewskiém. Miano wybrać trzech professorów stałych w uniwersytecie krakowskim z wydziału matematyki, fizyki i literatury, podanych od samegoż uniwersytetu, i ci mieli nosić tytuł professorów cudzoziemskich kollegium królewskiego paryzkiego (professeurs étrangers au collège royal de France). Nawzajem uniwersytet krakowski miał mieć prawo do podobnegoż wyboru między akademikami paryzkimi. Uczeni ci, utwierdzeni dyplomami królewskiemi, mieli się z sobą wzajemnie znosić, i udzielać sobie w oznaczonych epokach sprawozdań naukowych. Podobał się ten projekt akademii i królowi, ale książę prymas był innego zdania, i odrzucił go, jako zawczesny.

---

z ukontentowaniem zapewnia je o niéj, i przytém prosi Boga, aby je miał w swojéj świętéj i godnéj opiece. w Poznaniu, 1go Lipca 1802. roku.

podp. FRYDERYK WILHELM.«

Zob. odezwę Tow. P. N. w I. Tomie Roczników jego.

(Dokończenie nastąpi.)

Krytyka.

Vorstudien zur Wissenschaft der Natur

oder

Uebergang von Gott zur Schöpfung

von Bronislaus Ferd. Trentowski.

2 Bände. Leipzig 1840.

Dwa lata temu, a ujrzała publiczność czytająca książkę z niemieckim napisem zasady uniwersalnéj filozofii, przez autora polskiego nazwiska, i ucieszyło ją, że to rodak nie tylko z imienia ale i z duszy, wystąpił w szranki niemieckiéj filozofii i potęgą a blaskiem własnych zasług w krainie myśli, roznosi sławę imienia polskiego pomiędzy obcymi. Widać było, że autor kładł wartość na rodzime pochodzenie swoje, bo wśród tytułów zaszczycających zwykle nazwisko pisarza na napisie książki, drobny tytuł doktora filozofii okrasił dawną swoją godnością byłego nauczyciela przy gimnazyum Szczuczyńskiém w Polsce. Ujęty dla współrodaka czytelnik przewróciwszy tytułową kartę, i przebiegając kilka stronnic przedmowy, z upodobaniem następujące z niéj czytał ustępy: »Cousin zgłębił filozofią niemiecką, a nie poświęcił jéj przeto własnego ducha, ni ducha narodu swojego. Podobnie i niniejsze pismo autora nie powinno być mierzone na obcą skalę, ale uważane jako kwiat jego własnego usposobienia, i jako echo filozofii, co dziś pojęcia narodu polskiego ożywia, i z pełnéj piersi na zewnątrz odzywa się. Niemcy tak wielostronnie ukształceni mało dotąd znali ducha polskiego, obcą dla nich zupełnie śliczne zakwitująca literatura rodzima, i zaledwie zasłyszeli o Mickiewiczu, którego talent poetyczny wyrównał Dantemu i Cerwantesowi; — nie bez interesu będzie zatém dla nich dzieło, wykazujące, jak się ich filozofia na zwierciedle duszy cudzoziemca odbiła, który się potrafił utrzymać niezawisłym od jéj wpływu.«

»Pod względem stylu niemieckiego, prosi autor, by czytelnicy byli pobłażającymi. Niech pomną, że przed pięciu laty jeszcze języka ich nie umiał, że mu nawet na sen nie przyszło, aby kiedy w życiu swojém miał po niemiecku mówić i pisać. Gdyby mu nieba były dozwoliły wydać dzieło niniejsze w ojczystym języku, o ileżby było zyskało na jasności, na mocy i powabie! Wszakże to tak wiele od dobrego wystawienia rzeczy zależy! Atoli kto w obcym sobie pisze języku, nie dosięga tych korzyści; najpłomienistsze połyski myśli, i najgorętsze wionienie ducha przemijają marnie, bo pisarzowi braknie odpowiedniego na nie wyrazu. Język ojczysty jest wdzięcznie brzmiącą harmoniką duszy, jest to dusza sama w przyrodzonym głosie swoim. Jako zaś niepodobna mieć dwoje dusz, tak niepodobna mieć dwa języki ojczyste.«

»Ty zaś ojczyzno moja droga — tak kończy Trentowski przedmowę swoją, pisaną w Frejburgu w dzień zmartwychwstania 1837. r. — ojczyzno niewypowiedzianie ukochana, ty raju mój, nie złorzecz synowi twojemu, że nie twoim pisze językiem! dla ciebiećbym ja użyteczniéj mógł pracować, niżeli dla kraju obcego, i tak już okwitego w geniusze!

Rozrzewniony czytelnik ukochał nieszczęśliwego rodaka, którego dusza tryskała razem promieniami geniuszu i płomieniami tak gorącéj miłości ojczyzny, i kiedy późniéj czytał w kolumnach pisma tego, list jego w narodowém pisany narzeczu, mile mu były te ojczyste wyrazy od ziomka z nad cienistego Szwarcwaldu. Acz tam myśl nie jedna raziła przekonanie współkrajowców, acz zadrasła nawet serce, na dobrą to przecież tłómaczono mu stronę, przebaczono, przemilczano, aby nie psuć harmonii uczuć, któremi skora w ukochaniu cnoty i rodzinnego talentu opinia publiczna, upieściła rodaka filozofa wśród obcych. Tak w zbytku rozradowanego uczucia przebaczy nie jeden dyssonancom skrzypka, gdy na narodową zagra nutę i w skocznych pląsach ruszą się nadobne krakowiaki; tak w rozrzewnieniu nie patrzy widz na uchybienia aktora, gdy na scenie zobaczy i usłyszy długo pożądaną narodową sztukę.

Z upragnieniem więc czekano nowych popisów autora, przygotowane były umysły i serca, aby je przyjąć z oklaskiem radości, i skronie rodaka filozofa, jak niegdyś rodaka poety, uwieńczyć bluszczem zasługi. Zapowiedziane Vorstudien ukazały się nareszcie. Skwapliwie bierze je czytelnik do ręki, wysoko brzmiący tytuł »przejście od Boga do natury« zachwyca nadzieją nowych wysokich pomysłów; ale gdy oko spuszcza niżéj, i w tytułach autora widzi wymazaném dawne godło nauczycielstwa jego w Szczuczynie w Polsce, tajemne jakieś przenikło go wrażenie, jak lękliwe przeczucie nieszczęścia w chwilach radości. Czyta pierwsze karty przedmowy i wypada mu książka z ręki; osłupienie, zaduma, a potém coś nakształt pogardy naprzemian go zajmuje. Oczu swoim nie wierzy, podnosi odrzuconą książkę, czyta po raz drugi, prawda, najszkaradniejsza apostazya, bo przenarodowienie się, ogłoszone śmiałém czołem w oczy światu, swoim na ohydę, obcym na zgorszenie. Toż kraj nasz nie tylko w polityce, w nauce interesu, ale i w filozofii, nauce prawdy, liczyć ma przeniewierców? —

»Już to po raz trzeci — są słowa p. Trentowskiego — występuje autor tego dzieła, przed niemiecką publicznością, z pracą swoją umysłową. Dziś atoli występuje przed nią z całkiém nowemi uczuciami, i rozprzestrzenione serce gwałtownem bije tętnem, bo dziś i on także w moc otrzymanego indygenatu należy do Niemców!«

Zaszczytném zaprawdę być może dla naszego autora otrzymane prawo obywatelstwa pod rządem Badeńskim, dla tego, że mu je dla osobistych jego zasług i zdatności przyznano; zaszczytne i to, że w moc tego obywatelstwa wolno mu wykładać filozofią przy uniwersytecie w Frejburgu, i polakowi niemieckie oświecone narody pouczać; — ale ta

radość z doznanego zaszczytu nabyta, którą roztworzyło się, i silniejszém uczuciem bić poczęło serce autora, nie powinna była iść w parze z radością dostąpienia nowéj ojczyzny, skoroby wierzyć trzeba uręczeniom jego, że swoją własną tak niewypowiedzianie ukochał. Smutek, który z téj strony pierś jego zapełnia, jeżeli prawdziwy, nie udany, choćbyś ją najbardziéj roztworzył, nie da miejsca radości, wynikłéj z nabytku materyalnego wśród obcych dobra, ale i owszem przez samo porównanie nieszczęścia własnego ze szczęściem postronném, rość będzie i wypełniać żalem wszystkie komórki uczuć serca patryotycznego.

»Znalazłem nową ojczyznę — a jaką jeszcze ojczyznę!« Tu następuje opisanie złotych czasów kraju Badeńskiego. Nie zostawia nas zatém autor w niepewności, zkąd mu tak urosło serce, bo w miejsce utraconéj ojczyzny znalazł inną, obfitującą we wszystkie dobra materyalne i towarzyskie. Nie ma, powiada, na całym świecie, tylko jedne Niemcy, a w Niemczech tylko jedno błogosławione Baden. Nie będziemy się upierali z autorem o ziemię obiecaną, w któréj znalazł urzeczywiszczone wszystkie ideały szczęśliwości ludzkiéj. Można mieć dla obcéj ziemi upodobanie, wdzięczność, przywiązanie nawet, ale miłości ojczyzny mieć nie można, ino dla kraju własnego, którego skibą jesteśmy. Niech autor do swoich wyobrażeń i uczuć swoich zastósuje, jeżeli może, co powiedział Cicero: *cari sunt parentes, cari liberi, propinqui, familiares, sed omnes omnium caritates patria una complexa est.*

Lecz autor krok daléj jeszcze postąpił. On wynarodowił siebie i potomstwo swoje, i to wynarodowienie jako zasługę oświeconym ludom niemieckim ogłasza. Jako mąż małowierny, który zaledwie żonę w grób złożył, co go całym ogniem miłości kochała, innéj kobiecie, że szczęśliwsza i bogatsza zalecając się, wszystkie pamiątki pierwszych ślubów zatraca, tak i nasz autor, mimo najuroczystszéj protestacyi, nowemu swojemu Eldorado schlebiać zdaje się. Nie tylko kraj — powiada — ale tysiąc innych najświętszych węzłów potężną siłą do nowéj ojczyzny go wiąże, bo i żonę ma niemkę, i dziecku jego język niemiecki jest językiem ojczystym. Niemczyzna stała się jego istotą, pisze tylko po niemiecku, po niemiecku myśli na jawie i we śnie. Niemcy są braćmi jego, a on ich bratem (str. IX. i X.). — Gdyby ktoś na ten sposób urągał się z pojedyńczéj ukochanéj sobie osoby, która nie widzi ani uniesień radości w oczach kochanka, gdy się do nowego przedmiotu przysiada; ani słyszy pochlebstw i przysiąg jéj kosztem nowéj miłości składanych; byłby to zwyczajny tryb zmienności ludzkiéj, który uchodzi bezkarnie. Ale godziż się, bez ściągnienia na siebie największéj moralnéj odpowiedzialności, wyprawiać wśród obcych podobne publiczne urągowisko z matki narodu.

Kiedy tak przed germańskim narodem nabluźnił współrodakom i polskości, obraca mowę do dawnych (tak ich sam nazywa) braci swoich, i w konsekwencyi tego, co powiedział, że nietylko mówi i pisze, ale na jawie i we śnie myśli po niemiecku, w takimże języku do nich przemawia: »Nieuważajcie mojego stósunku do Niemiec, jako bezbożne od was odszczepieństwo. Równie ja dumny z tego, że jestem Polakiem, jak że teraz do Niemiec należę. Musiałem mieć inną ojczyznę, bo serce moje bez miłości stać się niemogło.« — Czém autor owę swoją dumę rodową znamionuje, po tém, cośmy od niego słyszeli, trudno odgadnąć; trudno też niepowiedzieć, że się odszczepił, choć to z pragnienia miłości uczynił. Odwoływanie się jego, tu owdzie, do dawnego rodu swojego, wydaje się chyba, jak owo gliniane naczynie, stawiane wśród sreber i złota na stole Agatoklesa, tyrana Sycylii, ażeby mu dawne przypominało rzemiosło; nie pił z niego, ani go używał, ani też dla tego myślał do dawnego wrócić zatrudnienia. Jeżeli mowa ojczysta, według słów p. Trentowskiego, jest głosową duszą człowieka, język ojczysty nie jestże żywotnim głosem duszy narodu? Jakaż zatém będzie polskość naszego autora, gdy ani wyraz polski na ustach, ni myśl polska w głowie, ni sen nawet polski w rozmarzonéj duszy nie postanie?

Całą tą sprawą niechlubny na siebie autor ściągnął pozór, jakoby wziął sobie za godło owo kosmopolityczne *ubi bene ibi patria.* Bo choć mu się serce krajało na wyrzuty, i na zachęcenia współrodaków, którzyby radzi w nim narodowego pisarza ujrzeli, to przecież przemogły nadzieje w Niemczech spodziewane, i Niemcom, nowéj ojczyźnie swojéj, postanowił służyć duszą i ciałem; po polsku zaś dopiero wtenczas pisać obiecał, gdy jemu samemu w kryształowych nurtach Wisły pogodniejsze niebo zabłyśnie (zobacz przedm. str. XII.)

Kończy autor tę niepotrzebną, bo całkiém chybiającą celu, do Polaków apostrofę, dyplomatycznym wywodem, jako można być razem Niemcem i Polakiem. Nie chcemy téj sztuki uczyć nikogo, autorowi tylko przypominamy w odpowiedzi, jego własne wyrazy z przedmowy pierwszego dzieła: »jako zaś niepodobna mieć dwoje dusz, tak niepodobna mieć dwa języki ojczyste« — skąd naturalny wniosek, że tém większe niepodobieństwo, dwie razem mieć ojczyzny.

Dodajmy w końcu, że jeżeliśmy przedmowę autora, tak jak nam się przedstawia, surowym wyrazem obrażonego narodowego uczucia naganili, nie chcieliśmy ubliżyć ani talentowi pisarza, który cenimy, ani narodowi niemieckiemu, którego oświatę i towarzyskie cnoty wysoko poważamy. Rozumiemy w ogólności, i bodajbyśmy się w tém rozumieniu nie mylili, że autor więcéj powiedział, niż serce czuło, gorzéj się wyraził, niż myślał, i że dziś może żałuje, co w pierwszém uniesieniu życzliwości dla gościnnego kraju, z ujmą godności swojéj i narodu napisał.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Doniesienia literackie.

Jakiś X. Trepka wydał w drukarni polskiéj »Rozmyślania religijne i polityczne.«

Pan K. Wł. Wojcicki wydał w tych dniach u Sennewalda zapowiedziane »Stare gawędy i obrazy« w 4ch tomach, z których kilka umieściliśmy już dawniéj w piśmie naszém.

Przeglądu Warszawskiego wyszedł tom II. i zawiera: Porównanie języka polskiego z innémi słowiańskiémi. Obrazy poznawań ludzkich. Belman i Lindner poeci szwedzcy z wieku XVIII. Zarysy pożycia. Wspomnienie i t. d. Kilka poezyj. Rys statystyczny Galicyi. Wiadomość statystyczna o Kruszwicy. Rozmaitości.

W Warszawie wyszedł z druku »Nowy gabinet powieści Sierpińskiego«; zawiera pięć oryginalnych powieści. — Tamże wyszedł zeszyt 7my »Życia Napoleona.«

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Poniedziałek. Prenumerata wynosząca półrocznie 2 Talary przyjmuje się po wszystkich Królewskich Pocztamtach i księgarniach krajowych i zagranicznych.

Redaktor: *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*